

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 134.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 19 kwietnia 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Wielkanoc (z drzeworytem, wyobrażającym zmartwychwstanie Chrystusa Pana). — Kronika tygodniowa. — Lirnik ukraiński z powo dy rem (z drzeworytem). — Droga żelazna warszawsko-bydgoska (z dwoma drzeworytami). — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Śpiąca (poezya). — Zegiestów (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

WIELKANOC.*

Żadne ze świąt uroczystych w ciągu całego roku nie pobudza do takiego ruchu i czynności w rodzinach, co Wielkanoc. W dawnej Polsce te święta więcę były ożywione niż teraz; dlatego damy tu wiadomość o obrzędach i zwyczajach do nich się odnoszących.

I.

Od srody popielcowej rozpoczynał się post wielki. W wiekach pierwotnych liczonego na dni 40, 50, 60 i 70; dla usunięcia przeto takiej różności między chrześcianami, papież Wigiliusz na soborze aureliań-

(*) W tomie I Tygodnika Ilustrowanego, w N. 28 z 1860 r., daliśmy obraz staropolskiego święconego i wielkiego czwartku świąt wielkanocnych. Teraz skreśliły niedokładnie jeszcze w piśmie naszym szczegóły tak obrzędów kościelnych, jak zwyczajów ludowych na całym obszarze dawnej Polski.



ZMARTWYCHWSTANIE CHRYSZTUSA PANA.

skim nazaczył czterdzieści dni postu. Wszyscy prawie wyłączyli od postu niedziele, a niektóre kościoły wyłączyły nawet pewne dni w tygodniu. Podług więcę tych wyłączyń, dla dopełnienia dni 40, pierwej lub później pościć zaczęto.

Najpowszechniejszy u dawnych chrześcian był zwyczaj zaczyna wielkiego postu od niedzieli, siedmiu tygodniami przed niedzielą męki Pańskiej, lub dziewięciu przed Wielkanocą, nazwanę w języku łacińskim *Septuagesima*. Ślad tego zwyczaju teraz się tylko zachowuje w modlitwach i obrzędach kościelnych, które zupełnie są podobne do tych, jakie się w wielkim poście odprawiają.

Po przyjęciu wiary chrześciańskiej, Polacy pościli przez dziewięć tygodni przed Wielkanocą, zaczynając od *Septuagesimy*. Ząd niedziela ta i dziś w naszym języku zowie się *Starozapustną*. Dopiero w r. 1245 papież Innocenty IV post wielki do dni 40 skrócił i od srody popielcowej zacząć go pozwolił.

Po niedzieli starozapustnej, następuje niedziela zwana w języku łacińskim *Sexagesima*, a po polsku *mięso-pustną*, od zwyczaju dawnych chrześcijan, którzy od tej niedzieli wstrzymywali się zwykle od pożywiania mięsa. Po niedzieli mięso-pustnej, następuje *Quinquagesima*, po polsku *zapustna*, jako ostatnia przed wielkim postem; następną środą zaczynała takowy.

Gdy post jest czasem pokuty i umartwienia, ztąd kościół święty, dla wyrażenia tego we mszy i nabożeństwach swoich, usunął śpiewy *Aleluja* i *Gloria*, a ubioru kapłańskie są koloru fioletowego. Zalecając modlitwy i miłosierne uczynki, zabronił publicznych zabaw, gry, tańców i wesela, jako niezgodnych z duchem pokuty i umartwienia.

Ścisłe zachowywanie postu szczególnie było przestrzegane w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Sobór toledański roku 653 zalecił, aby ci coby bez potrzeby jedli mięso w wielkim poście, nie jedli go przez rok cały i do komunii wielkanocnej przypuszczani nie byli. Taka surowość postu prawie do XIII wieku trwała; później dopiero stopniami wolniała. Zaczęto najprzód dozwalać w dni postne używać nabiału wiernym w krajach północnych, gdzie o oliwę trudno i gdzie spóźniona zima wzrost roślin na post zalecanych wstrzymywała. Prócz nabiału, wprowadzono lekki posiłek wieczorem, zwany *kollacyą*. Ten wyraz wzięty został od zakonników, którzy wieczorem zgromadzeni, słuchali czytania dzieł duchownych i prowadzili duchowne rozmowy, po łacinie *collationes* zwane. Po tych, w dni postne dawano im lekki posiłek, który także *collatio* nazwany został, jako po duchownych ćwiczeniach następujący. Ztąd u nas w XVI wieku uczy wieczorne nazywano *kollacyami*, na których przepycha a zbytek w jadło i napój, narzeka Marcin Bielski.

W czasie wielkiego postu po niektórych kościołach w pewne dni, osobliwie niedzielne, jest zwyczajem odprawiać nabożeństwo *passyjne*. Składa się ono z rzewnych pieśni, zwanych *Gorzkiemi żalami*, obejmujących historią męki Jezusa Chrystusa. Nazwa ich poszła od starej pieśni, która te rozmyślenia pobożne zaczyna, a cała brzmi jak następuje:

„Gorzkie żale przybywajcie!
Serca nasze przenikajcie!
Rozpłyńcie się me zrenice,
Tocząc smutnych łez krynice!
Słońce, gwiazdy omdlewają,
Żalobą się pokrywają.
Płaczą rzewnie aniołowie,
A któż żalować ich opowie?
Opoki się twarde kraja,
Z grobów umarli powstają.
Cóż się, pytam, co się dzieje?
Wszystko stworzenie truchleje!
Na ból męki Chrystusowej,
Żal przejmuję bez wymowy.
Uderz Jezu bez odwołki
W twarde serc naszych opoki!
Jezu mój! we krwi ran Twoich
Obmyj duszę z grzechów moich!
Upał serca mego chłodzę,
Gdy w przepaść Twój męki wchodzę.“

Dziesięć pieśni stanowi zwykle zbiór ich cały, który od dawnych wieków drukowany jest u nas p. n. „*Rozmyślenie męki Pana naszego Jezusa Chrystusa*,” bo treścią ich jest właśnie rozpamiętywanie cierpień i śmierci Zbawiciela. (***) Różni poeci od XV wieku do Karpińskiego, byli autorami tych pieśni. Lud nasz pobożny śpiewa je nie tylko po kościołach, ale i w domu, czy rano wstawszy, czy przy wieczornej pracy, wśród zebranej rodziny.

We środę po trzeciej niedzieli postu, zwyczaj jest dzwonięcia o godzinie 12 w południe po kościołach, dla obwieszczenia wiernym że połowa postu upłynęła. Dzień ten nazywamy *środościem*. Podczas tego dzwonięcia, lub pod wieczór, utrzymuje się dotąd zwyczaj między naszym ludem tłuczenia pod drzwiami garnków, zwykle napełnionych popiołem. Ta zabawka w dawnych czasach wzięła początek od pobożnych, którzy używając od półpostu samych tylko suchych pokarmów, garnki, jako niepotrzebne, a mogące być pokusą do przełamania zrobionego ślubu, rozbijali.

Piąta niedziela postu nazywa się *niedziela męki Pańskiej*, dlatego że od tej niedzieli kościół święty szczególnie zaczyna rozpamiętywać mękę Zbawiciela

(**) W r. 1853 znakomity kaznodzieja ks. Jan Bogdan, na oświecenie dawnych pieśni ułożył nowe w tym rodzaju i wydał p. n. *Gorzkie żale*, rozmyślenia męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, w czasie czterdziestodniowego postu dla chrześcijan katolików. Warszawa, nakład i druk S. Orgelbranda. Jakkolwiek o wiele gładkością wiersza i pięknym językiem te *Gorzkie żale* przenoszą pierwotne wydania, lud ich nie przyjął i został przy dawnych, które zna i śpiewa od kolébki.

i do niej nabożeństwo i obrzędy swoje stosuje. Od tego dnia zasłaniają się w kościołach krzyże ciemnym pokryciem, i tak aż do wielkiego piątku zostają, na pamiątkę że Chrystus Pan, podług opowiadania ewangelii na tę niedzielę przypadającej, przed zapalczywością nieprzyjaciół schronił się, albowiem godzina męki jego jeszcze nie przyszła.

W szóstą i ostatnią niedzielę wielkiego postu kościół obchodzi pamiątkę tryumfalnego wjazdu Zbawiciela do Jerozolimy. W dzień ten poświęcane są gałązki palmowe i oliwne, a w niedostatku tych wierzbowe lub z drzew innych, jakie się w kraju znajdują. Ztąd ta niedziela *palmową*, *kwietnią* lub *wierzbną* nazwaną została. Po poświęceniu palm, odbywa się processya, wyobrażająca wjazd Chrystusa do Jerozolimy. Kapłani i lud niosą poświęcone palmy, naśladując owych Izraelitów, którzy z palmami w rękę towarzyszyli Chrystusowi, a na drodze ślali Mu odzienie swoje i sypali gałązki zielone i kwiaty. W czasie tej processyi, gdy wraca, drzwi kościelne znajduje zamknięte; kantorowie wewnątrz śpiewają hymn, którego treścią wjazd Zbawiciela, na co kler i lud zewnątrz stojący odpowiada. Celebrujący kapłan uderza trzykrotnie krzyżem we drzwi kościelne, które się wtedy otwierają; processya wchodzi, a kantorowie wewnątrz pozostali, przed celebrującym schylają palmy. W wielu miejscach zamiast kantorów, są przybrane w białą drobne dzieci z palmami.

Palmy te roznoszą pobożni do domów i starannie przechowują przez rok cały. W starożytnej Polsce, w czasie wielkiej burzy, okadzano niemi domostwo, dla zaslonienia go od piorunu, a lud nasz w chorobie, szczególnie gdy się rany w ciele pokazują, czyni to samo. *Kotki* z nich czyli pączki polykano, uważając to jako skuteczne lekarstwo na ból gardła i kaszel dychawiczny.

Od niedzieli kwietniej zaczyna się tydzień *wielkim, świętym* lub *męczenniskim* nazwany, a dawniej *odpustowym*, ponieważ *pokutnicy* otrzymywali w nim rozgrzeszenie i do stołu Pańskiego przypuszczani byli, a nadto *suchopostnym*, dlatego, że pobożni przez ten tydzień suchych tylko pokarmów używali.

Podczas mszy św. czytają się prorocтва o męce Zbawiciela, a zamiast ewangelii, *passya*, czyli historia spełnionej męki. Przy wymówieniu słów o skonananiu Chrystusa, kapłan na kolana upada i prosi o szczęśliwą śmierć dla wszystkich ludzi.

We środę, czwartek i piątek wielkiego tygodnia odprawia się w kościele nabożeństwo *ciemną jutrznią*, *officium tenebrarum* zwane, na pamiątkę pojmania Chrystusa i owej smutnej nocy, w której ponosił zniewagę i męczeństwo.

Ciemną jutrznią nazywają *lamentacyami* dlatego, że w pierwszym jej nokturnie, zamiast lekcji, śpiewają się lamentacye czyli żale Jeremiasza, któremi ten prorok oplakiwał przewidziane zburzenie Jerozolimy. W dawnych czasach jutrznia ta odprawiała się w nocy i aż do dnia trwała, ztąd ją *ciemną* nazwano.

W wielki czwartek przypada pamiątka ostatniej wieczerzy Chrystusa z uczniami: uderzają we dzwony, brzmiały organy, poczem milkną aż do rezurekcyi. Ołtarze ze wszelkich ozdób są obnażone, a celebrujący biskup czy kapłan obmywa nogi ubogim, na pamiątkę że Zbawiciel przy ostatniej wieczerzy apostołom swoim uczynił toż samo. Wieczorem dnia tego przypada wieczerza Pańska, podczas której w dawnych wiekach gospodarz umywał nogi zebranym domownikom swoim, a czeladź zasiadała wspólnie do stołu, na znak miłości i równości chrześcijańskiej. W wielki czwartek biskupi w czasie mszy uroczystej poświęcają oleje, i w tym dniu tylko w ciągu roku całego odbywa się ten obrzęd. Poświęcone oleje, biskup z dwunastu kapłanami pozdrawia potrzykoc, z przykłonieniem.

W wielki piątek przypada pamiątka męki i śmierci Zbawiciela; dlatego aparaty kościelne są koloru czarnego, msza św. żadna się nie odprawia, a we wszystkich kościołach przybrane są *groby*, przypominające złożenie ciała Chrystusa Pana w grobie. W ten dzień przed pięćdziesięcią laty był zwyczaj w Warszawie, że dziatwa miejska stroiła ze słomy bałwana i ubierała go w rozmaite szaty; bałwan ten przedstawiał Judasza. W kieszeń kładli mu worek z trzydziestą kawalkami szka, jakoby tyłuż srebrnikami, za które sprzedał Chrystusa Pana. Oprawdzali go po ulicach Warszawy, następnie wciągali na wieżę kościoła Panny Maryi, zrzucali na bruk, za włosy targali, bili i przy odgłosie grzechotek i przekleństw w Wisłę topili.

W wielką sobotę święci się uroczysto ogień, na pamiątkę że w dawnych kościołach wiekach codziennie krzeszono ogień, poświęcano go, a następnie zapalano nim lampy i świece w świątyni pańskiej. Z tego powodu i teraz, przed obrzędem samym, gaszą się

wszystkie świece i lampy kościelne, a z wykrzesanego i poświęconego ognia nanowo się zapalają. Poświęcenie to odbywa się za kościołem; w dniu tym poświęconą jest także woda przeznaczona do chrztu.

Wszystkim chrześcijanom znana jest reszta uroczystości wielkiej soboty, owo poważne a radosne nabożeństwo *rezurekcyi*, czyli pamiątki zmartwychwstania Zbawiciela, gdy po długim milczeniu dzwony kościelne uderzą, a pieśń wesola z ich odgłosem i wonią kadzidel wzbija się i wstrząsa sklepienia świątyni pańskich.

Pozostaje nam teraz podać czytelnikom zwyczaj ludu naszego w różnych stronach dawniej Polski, przywiązane do świąt wielkanocnych, oraz wspomnienia starożytnych na ziemi naszej obchodów tych świąt i wielkiego tygodnia.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Z zasady przeciwny jestem wszelkiej polemice; dziś zwłaszcza uważam ją za zupełnie niepotrzebną, szkodliwą nawet. Dlatego nie będę tu zbijał dowodzeń korespondenta Gazety Warszawskiej z Wieluńskiego, który twierdzi że sprowadzanie robotników rolnych z zagranicy nie tylko jest nieszkodliwe, ale nawet użyteczne. Najlepiej za mnie odpowiedzą fakta. W biurze policyi mnóstwo jest zaniesionych skarg przeciwko tym robotnikom, o zbiegostwo, złodziejstwo i tym podobne przestępstwa; łatwo każdy o tym przekonać się może. Nie wątpię też że żądającym informacyi, panowie wójci gmin i naczelnicy powiatów podobnego rodzaju dowody złożyć będą w możności. Sam posiadam u siebie listy wielu bardzo szanownych obywateli, którzy jedni z pierwszych pośpieszyli iść się tego środka, i pierwsi też załadowali że to uczynili. Byli tacy, co sami jeździli za granicę i godzili robotników; ale i to nie na wiele im się zdało. Ci robotnicy żądali wygód jakich im tu zapewnić nie można było, i rozpatrzywszy się w robocie, oświadczyli zaraz, że wcale nie *do tego* byli u siebie przyzwyczajeni. Nie wiemy *do czego* oni przyzwyczajeni być mogli, ale z pewnością nie do pracy, bo z niechęcią jej się oddawali. Tém mniejsza pociecha z robotników sprowadzonych przez kommissantów, tym bowiem obliczowano złote góry, nie troszcząc się o dopełnienie obietnic, byleby dobre kommissowe wziąć się udało. Zawód więc z obu stron miał miejsce.

Że w Szląsku jest przeludnienie, nie przeczę, ale nie pochodzi ono wcale ze zbytku słowiańskiej ludności, chociaż ludność ta jest i uboższą i więcej moralnie upośledzoną. Niemcy tę ludność naciskają i już teraz posiadają nad nią znaczną przewagę. Jeżeli więc mieszkańców pochodzenia słowiańskiego będziemy do siebie przenosić, nie zaradzi to wcale przeludnieniu, da tylko więcej pola Niemcom do rozszerzenia się i przeważniejszego wypierania słowiańskich pierwiastków. Tak to jest widocznem, że dowodzenia nie potrzebuje. Obecnie słowiański ruch rozbudza się tam w pewnym względzie; nie przeszkadzajmy mu więc, owszem wspierajmy go, o ile sił nam stanie.

Zresztą tacy, którzy najlepiej z tą kwestyą obeznani być powinni, wspierają twierdzenie nasze faktem, przeciwko któremu żadne, by najsilniejsze wywody korespondenta z Wieluńskiego nie poradzą. Dom Gregorowicz i Dębski oświadczył, że spełniwszy poprzednio przyjęte zobowiązania, nadal już robotników zagranicznych sprowadzać nie będzie. Widocznie ci panowie, śledząc gorliwie potrzeby kraju, przekonali się, że przedsięwzięcie, które im się z początku wydawało użytecznem, zupełnie inaczej okazuje się w skutkach. Powiem tedy jak ów filozof szkocki, który składał fakta przeciw rozumowaniom:

— Solve mihi hunc syllogismum.

Co zaś do zachowania się rolników naszych, z którymi dobre obchodzenie się wyklucza wszelką potrzebę sprowadzania obcych żywołów, stawię tu tylko za dowód fakt przez tegoż samego jak się zdaje korespondenta z Wieluńskiego zakomunikowany, a przytoczony w Gazecie Warszawskiej.

W powiecie wieluńskim, dobrach R., należących do p. L. N., (cyfry samegoż korespondenta), włóscianie, dopomógłszy ogólnemi siłami do uskutecznienia bardzo pilnych robót gospodarskich, a nagabani o przyjęcie zapłaty, odpowiedzieli:

— My tak wyjechali, zwyciężajmy, z grzeczności dla dziedzica. Coby to była warta nasza grzeczność, gdybyśmy za nią brali pieniądze?

W tychże samych dobrach, jak twierdzi dalej kor-

respondent, znajduje się kilku upornych gospodarzy, którzy wcale okupu płacić nie chcą. Dla zachowania dobrych stosunków z ogółem włościan, nie egzekwowano ich dotąd, chociaż wszelkie namowy były bezskutecznymi. Otóż gromada, przyszedłszy do właściciela, rzekła:

— Przychodzimy do w. pana z prośbą, żebyś też raz wziął się ostro do tych, którzy płacić należności nie chcą, a przysłał egzekucją, bo to wstyd dla gromady że się tacy we wsi znajdują. I jeszcze kto z dalekich stron, usłyszawszy o tym że nie wszyscy zapłacili co winni, mógłby myśleć że u nas chłopci w niezgodzie z dziedzicem żyją, a przecież chwala Bogu tak nie jest i nigdy nie będzie.

Zdaje się że właściciel posiadający u siebie takich włościan i widząc jakie owoce przynosi dobre i taktowne z nimi obchodzenie się, nie walczyćby powinien przeciwko memu twierdzeniu, ale je popierać. Wszystko tu od nas samych zależy: jak zasiejemy, tak i zbierzemy; zużytkujmy dobrze to co jest na miejscu, a nie będziemy potrzebowali zdaleka pomocy sprowadzać. I najlepsze zboże zdaleka sprowadzone na nic się nie zda, jeżeli koło niego chodzą nie będziemy umieli, a nasze krajowe ziarno starczy z nadmiarem, jeżeli się skrzętnie i sumiennie zajmemy jego uprawą.

Za to zgadzamy się zupełnie na twierdzenie tegoż korespondenta, że w obecnym stanie rzeczy nie powinni być chwaleni ci, którzy zakładają szkółki, czyniąc bowiem to, spełniają oni tylko swój obowiązek; ale ci powinni być wytykani, którzy szkółek nie zakładają i pozostają w tyle po za ogólnym dążeniem do poprawy i postępu. To też, chociaż daleko przyjemniej i łatwiej jest sprawozdawcy chwalić aniżeli ganić, już kilkakrotnie użyliśmy tego sposobu działania na poprawę. Bogdajby słowa nasze nie poszły na marnie!

O 9 wiorst od Warszawy w dobrach Daw. i o mil 5 od Warszawy w dobrach Szki., własności bardzo zamożnego tutejszego zgromadzenia duchownych, lud wiejski jest tak ciemny, iż z pewnością rzeczyć można że w dobrach Daw., które mają 80 włók rozległości i do których cztery wsie należą, ani jeden włościanin czytać nie umie. Dotąd nie pomysłano tam o założeniu szkółki, a nawet zarządzający dobrami wyraził się, że *chłop może żyć bez czytania!* Zapewne że może żyć, ale jak? I jaki pożytek takie jego życie przyniesie jemu i drugiemu?

A jednakże nie wiemy czy najzamożniejszemu obywatelowi przysłoby z większą łatwością założyć szkółkę, jak wzmiankowanemu zgromadzeniu. Miejsca nie brak, pieniędzy jest podostatkiem, bo dochody z dóbr ogromne, a zgromadzenie mogłoby wysłać jednego ze zdolnych braciszków, któryby z korzyścią pełnił zdołał obowiązki nauczyciela. Nie rozumiemy powodu takiej obojętności tam właśnie, zkad dobry przykład płynąć powinien.

Tępo i zółtym krokiem postępuje u nas oświata pomiędzy włościanami, pisze nam korespondent z Krzemienica; o szkółkach zakładających się lub mających się zakładać ani słyhać. Na dwa tak ludne jak konstantynowski i krzemieniecki powiaty, ledwie kilka drobnych szkółek się znajdują. Są wprawdzie w wielu miejscach rodzaje szkółek, (których jednakże tym imieniem nazwać nie można) lecz nauczyciele, zamiast uczyć dzieci czytać i pisać, wykładają im kurs *botaniki praktycznej*, przymuszając je pluć w ogrodzie na wiosnę, a zbierać kłosa i żąć latem; sami zaś oddają się pijaństwu i tym sposobem wpływają szkodliwie na dzieci. Smutno to iż nasi obywatele ziemscy nie starają się zapobiedz temu, chociaż to jest w ich mocy; boleśnie widzieć to młode pokolenie poniewierające tak swą młodość, swe zdolności, które przy dobrych chęciach pp. obywateli mogłyby z czasem przynieść stokratny owoc. Nie rozumieją oni korzyści, jakieby z oświaty włościan dla nich samych wypłynęły, i do nich to właśnie zastosowaćby można, z małą jednakże odmianą, wiersz z Pisma świętego:

„Ciało jest mocne, ale duch słaby.“

Tenże sam korespondent donosi nam o dość ciekawym fakcie, który się zdarzył w tamtych stronach. Chociaż doniesienie to spóźniło się nieco, fakt sam godzien rozgłosu, i dlatego dajemy mu miejsce.

Zimy tej, jak wiadomo, okropne, bo do 29 stopni dochodzące mieliśmy zimna. Podczas więc jednego z takich silnych mrozów, starozakonny Izaak Kielmann, człowiek do lat sześćdziesięciu wieku liczący, bardzo ubogi, bo trudniący się z wielkim zamiłowaniem i od najpiętniej młodości sprzedając starych książek i malowideł, których handel w tak małym jak Krzemieniec miasteczku niewielką korzyść przynieść może, Kielmann tedy późno w nocy powracał do domu.

Było to dość daleko od miasta. Niewiadomo czy dla ogrzania się, czy też dla jakiego interesu, podró-

żnik wstąpił do ubogiej chaty, stojącej na ustroniu, tuż obok cmentarza; lecz w ciemności nie trafiwszy do drzwi właściwych, wszedł do izby na prawo. Okno, grubą powłoką lodu pokryte, nie puszczało światła, w skutku czego panowała tam ciemność.

Usłyszawszy głos słaby, zapytujący koby wszedł, Kielmann zdziwił się niepomału, iż w podobnym mieszkaniu ktokolwiek przebywać może. Po kilku jednak zapytaniach pokazało się, iż w tej chacie mieszka od dwóch tygodni chora wdowa po biednym oficjalskim, która od czasu swój niemocy ani ciepłego pokarmu, ani ognia w swój chacie nie miała. Żywiła się jedynie suchym chlebem, przynoszonym jej przez ośmioletniego synka.

Pocciwy Izraelita, nie zważając na odległość, spóźnioną porę i mroz, pobiegł do pewnego miejskiego obywatela, a przedstawwszy mu okropne położenie nieszczęśliwej kobiety, wyprosił dREW sporą wiązkę, nieco krup i słoniny, zebrał to wszystko, i sam, pomimo podeszłego wieku, drwa dźwigając, poszedł na powrót do owiej chaty, kupiwszy po drodze za własne pieniądze (choć ich miał bardzo mało) świecę i zapalki. Kobieta, pierwszy raz od dwóch tygodni należycie ogrzana i posilona, ze złożonymi rękami i z płaczem dziękowała mu, iż ją od pewnej śmierci wybrał.

Nędza jej, pisze korespondent, przechodziła wszelkie wyobrażenia. W izbie, której ściany pokryte były lodem na cal prawie grubym, na polamanym i garścią słomy pokrytym tapczanie, spoczywała biedna chora, trzęsąca się od zimna pod szczątkami podartej koldry. U nóg jej leżał skulony i także ledwie odziany nędzną opończą, ośmioletni jej synek.

Uboga niewiasta, przeniesiona następnie staraniem tegoż Kielmanna do szpitala i opatrywana we wszelkie potrzeby, dziś błogosławi swojego wybawcę.

Czyn ten nie jest jedynym tego rodzaju faktem jakiby można przytoczyć. Codzienne wspieranie ubogich i potrzebujących, bez różnicy wyznań, jeśli nie czynem, to radą lub własnym trudem, zjednały Kielmannowi powszechny szacunek i wziętość szlachetnego i bezinteresownego człowieka.

Takimi to sposobami zdobywa się prawo obywatelstwa w kraju, taki jest najskuteczniejszy środek zatarcia przesądów i dokonania tak pożądanego zjednoczenia i braterstwa, które już wchodzi w czyn w każdym niemal zakątku naszej ziemi.

Kronika nasza nie jest wyłącznie sprawozdaniem z Warszawy; ześrodkowuje ona w sobie wiadomości, które nam się zdarzyło zebrać z różnych stron naszego kraju, lub które łaskawi na nas korespondenci nadsyłają. Niezawsze chcemy, niezawsze możemy wymieniać źródła z których czerpiemy i miejscowości o których mówimy, zwłaszcza jeżeli przychodzi nam o tym lub owym niezupełnie przychylnie się odezwać. U nas jednak, i to od dość dawna, smutna istnieje drażliwość. Nie wiem czy to pochodzi ze zbyt skromności, czy z innych jakich przyczyn; ale bierzemy nieraz do siebie przymówki i zarzuty, które wcale nie do nas stosowano.

Świeży mamy tego przykład. W Nrze 132 Tygodnika mówiliśmy o czytelnicy założonej na prowincji, która nie odpowiada swojemu celowi. Zacerpnęliśmy tę wiadomość z listu korespondenta, który nam wymienił miejscowość; ale postanowiliśmy ją zataić, nie jesteśmy bowiem pochopni w obwinianiu kogoś *osobście*. Z tego jednak wywiązało się *qui pro quo*: jeden z zawiadujących czytelniami warszawskimi dla ludu założonemi, wziął pisanie nasze do siebie i przesłał nam bardzo uprzejmy list, w którym tłumaczy doniosłość i użyteczność tutejszych czyteln ludowych, o czym, nawiasem mówiąc, nie wątpiliśmy nigdy, mając sposobność z bliska przypatrywać się ich urzędzeniu i przysługom jakie oddają.

Niech nam pan R* wierzy, że tym razem nie mieliśmy na myśli ani jego, ani nikogo z miejscowych. Gdybyśmy znaleźli co do nadmienienia przeciwko tutejszym czytelniom, pośpieszylibyśmy z wygłoszeniem naszego zdania jawnie i otwarcie, jak to już w wielu razach czyniliśmy, nie szukając wcale pokątnych zaczepiek. Zresztą niejednokrotnie zdarzyło nam się już w Tygodniku pochwalić owe instytucje, a nie grzęszymy znów tak dalece brakiem pamięci, żebyśmy się w tak jawnej sprzeczności z samymi sobą stawiać mieli.

W artykule pisany przez nas mówiliśmy nie o ludowej czytelnicy, ale o obywatelskiej, w pewnej dość dalekiej nawet ztąd okolicy założonej, a ponieważ obywatele najłatwiej mogą wpłynąć na ukształcenie ludu, za złe im mieliśmy że sami nie starają się kształcić stosownie czytaniem dzieł użytecznych, miast niepotrzebnych, a czasem nawet szkodliwych wybryków fantazyi. Tłumaczymy się jasno; bliższych zaś wyjaśnień na żądanie udzielić możemy.

Wiadomo że przed niedawnym czasem rada uniwersytetu kijowskiego przypuściła kobiety do słuchania wespół ze studentami wykładu lekcji. Przypnać należy, pisze nam korespondent z tamtych stron, że rodaczki nasze niezbyt okazały się skoremi do korzystania z tej prerogatywy. Nie zdaje się, mówi dalej, żeby wyłącznie tego przyczyną była nieznajomość języka; mniemamy raczej że wstrzymywał je od tego trafny instynkt, który im z właściwej drogi zejść nie pozwolił. Niektóre z nich jednak, zwabione nowością lub może chęcią odniesienia korzyści naukowej, są codziennymi gośćmi na audytorjach uniwersytetu. Nikt nie ma zapewne za złe kobiecie chęci kształcenia się, lecz każdy ma prawo żądać, żeby to kształcenie się we właściwym następowało kierunku. Nasze mianowicie kobiety mają obowiązek ściśle tego przestrzegać, gdyż w żadnej może historii nie znajdziemy tyle co w naszej wzorów wysokiego powołania niewiasty. Wykład uniwersytecki jest wbrew przeciwnym potrzebom kobiet, ma on bowiem na celu kształcenie li tylko umysłu, ze szkodą nader często uczucia, tej właśnie władzy ducha, której rozwinięcie stanowić winno główne zadanie w wychowaniu płci niewieściej. Może być naprzykład pożytecznym dla kobiety, a raczej czy nie jest przypadkiem szkodliwym dla niej, poznanie historii w tym świetle, w jakim ją widzimy przedstawioną z katedry uniwersyteckiej, gdzie professor, nie dopuszczając żadnego poetyczniejszego ani wrzкомо serdeczniejszego uczucia, z przesywającym chłodem anatomizuje wypadki dziejowe i maluje nieraz w najczarniejszych kolorach to, cośmy mieli za święte i nietykalne? Brak rozwinięcia strony uczuciowej boleśnie już daje się spostrzegać w młodzieży naszej płci męskiej, a to co się z niej jeszcze zostało, winniśmy naszym kobietom, winniśmy zasadom wpajany przez matki. Cóż będzie, jeżeli wyschnie to ostatnie ożywcze źródło? A wyschnie ono niezawodnie, lub raczej zlodowacieje, pod wpływem uniwersyteckiego wykładu. Dodać do tego należy, że professor widzi się często zmuszonym mówić o przedmiotach i używać wyrazów obrażających wrodzoną skromność kobięcą. Zdaje się że te względy powinnyby powstrzymać nasze panie od uczęszczania na lekcje uniwersytetu.

Do tych słów korespondenta dodamy, że jeżeli zechcemy we wszystkiem naśladować Amerykę, to w Lubelskiem zaprowadzmy niewolnictwo, osadźmy Mormonów na Podlasiu, a załóżmy w Kaliszu muzeum z mamką Waszyngtona, wodospadem Niagary i karłem o czterech głowach. Nie wiem nawet dlaczego nie mielibyśmy urządzić w Warszawie kongresu matek i wystawy dzieci nowonarodzonych. Bywają bardzo rzadkie wypadki, w których doktor rodzaju żeńskiego, czyli doktorka, może oddać przysługę chorym a bardzo wstydlivym osobom płci swojej. Z drugiej jednak strony adwokatka i mecenaska, a nawet patronka, niebardzo mi się uśmiechają, bo stałaby się wielka płatanina z prawem; przy sędziach bowiem płci żeńskiej wrażliwość nie miała w processach grałaby rolę. A cóż dopiero mówić o botaniczkach i astronomkach! coby się to stało z biednym gospodarstwem domowem? A już dzieci, to chyba się pozabijały, bo wątpić należy czy mężczyźni, przy takim nawet wyręczeniu ze strony kobiet, mogli się skutecznie przerobić w dozorców domu. Wówczas Fredro miałby zupełną słusność w napisaniu swojego „Gwałtu, co się dzieje!“ Nawet nawiasem powiem, że zasiadanie na ławkach studenckich kobiet, naturalnie młodych (bo starym nie czas się już kształcić), z młodymi także studentami, niezupełnie odpowiadałoby zasadom moralności, przynajmniej jak je dziś pojmujemy. Wyniknęłyby mogły z tego częste dystrakcje, a nieraz większa szkoda aniżeli korzyść. Niech tedy niewiasty nasze zostaną po dawnemu dobrimi matkami, żonami i córkami.

Kobieta....

Niegdyś rodzinne rzuciła gniazdo,
By zostać męża swego aniołem,
I z jasnym licem, z pogodnym czołem,
Zaświecić nad nim miłości gwiazdą;
A gdzie to wszystko jest *vice versa*,
Tam ład domowy na zgubę leci,
Pieczeń spalona, zczochrane dzieci,
Bo pani czyta Hegla lub Thiersa,
Albo studjuje historią grecką.—
Tę tam postępowo nazwali pono;
Lepiej to jednak dawniej robiono,
Choć było głupio i staroswiecko.

Znakomity ubył nam artysta. Baranowski, pierwszy skrzypek orkiestry Wielkiego teatru, umarł w zeszłym tygodniu. Talent jego wyższy był nad rozgłos jaki miał, choć najczęściej na świecie dzieje się odwrotnie.

LIRNIK UKRAIŃSKI Z POWODYREM.

W jednym z poprzednich listów mówiłem o *lirnikach ukraińskich*, teraz przesyłam wam rysunek jednego z tych narodowych śpiewaków na Rusi, zrobiony z natury w powiecie czehryńskim, przez pana Kaźmirza Przyszychowskiego. Wyobrażony tu jest wraz z *powodyrem*, to jest chłopcem który mu towarzyszy w wędrowkach po wsiach i jarmarkach. Lirnicy na Ukrainie z każdym rokiem stają się rzadszymi. Starcy których spotykamy dotychczas, są zabytkiem lat dawnych, czasów innych. Dziś już bardzo niewiele jest takich, którzy się poświęcają lirnictwu i uczą się pieśni. Częściej są to prości żebracy, a i ci z nich co noszą lirę, niewiele umieją dum i pieśni. Historyczne, zebrane przed kilkunastu laty przez Certelewa, Maksymowicza, Srezniewskiego, Kuleszę, prawie nie są im znane. Kilka pieśni kościelnych, a nadewszystko pieśń o Łazarzu, stanowią cały ich zasób. Nowsze utwory pisarzy małoruskich, nawet pieśni istotnej wartości, jak Szewczenki, nie upowszechniły się dotąd pomiędzy ludem i nie są śpiewane przez lirników. Wiedzą o nich tylko ludzie piśmienni, i to nie wszyscy. W ostatnich latach propaganda pisarzy małoruskich rozrzuciła kilkaset egzemplarzy „Kobzarka“ Szewczenki po Ukrainie i robi co może, ażeby go upowszechnić; lecz nie zdarżyło mi się jeszcze słyszeć ani jednej jego piosnki śpiewanej przez lud albo lirników. Padura, o wiele niższy pod względem dosadności i czystości małoruskiego języka, o wiele różny pod względem wyobrażeń i zasad, jest wszakże daleko popularniejszy na Wołyniu.

Za lat kilkanaście, pod wpływem nowego porządku rzeczy, najpewniej że stary lirnik zaginie na Rusi, jak giną dumy historyczne, z których zaledwie ocalało kilka. Lud widocznie obojętniejsze na swą przeszłość i przeobraża się pod wpływem obecnej chwili. Żyje on życiem starym dopóty tylko, dopóki młode nie wnosi z sobą żywiołów nowych. Mylą się ci którzy sądzą iż skarbnica pieśni i wyobrażeń ludowych jest nieprzeobrażalną i jedyną. Ścierają się one, gubią, przekształcają, jak wszystko w naturze co ma życie. Patrzałem w ciągu ostatnich lat dwudziestu na przeobrażenie tego zakątka Ukrainy, gdzie się rozwinął przemysł fabryczny i widzę co zrobił z ludem, jak dalece wpłynął na życie jego, wyobrażenia, obyczaje. Ubiór zmienił się, język przyjął wiele słów i obrotów rosyjskich, a pieśni ukraińskie, posiadające tak piękne i oryginalne motywy, ustąpiły miejsca śpiewkom wielkorosyjskim. Kto ich zmusił do takiego przeobrażenia? Nikt; sami oni, zetknawszy się z ludem ruchliwszym, którego tu tysiące ściągnęły fabryki, zaczęli przejmować jego akcentowanie wyrazów i przedrzeźniać jego motywy. Lada poznajomienie się z abecadłem, przemienia natychmiast rodową mowę Ukrainca w mowę pół rosyjską, pół własną, jak równie otarcie się o szlachtę, uczy go języka polskiego. Nie słuszną jest w takim przeobrażaniu się dopatrywać jakichś instynktów głębokich i logicznych. Gmin przyjmuje jedno, a gubi drugie, bez jasnego przeświadczenia się co na tym zyskuje, a co traci. Idei nie rozumie, lecz posłusznym się staje wpływowi działającemu na zmysły. Oddany realnemu życiu, realizm tylko rozumie i weń wierzy. O tym czym był niegdyś,

nie umie sobie utworzyć pojęcia, bo nie ma skali porównania i jasno zrozumianej zasady.

Tadeusz Padalica.

DROGA ŻELAZNA

WARSZAWSKO-BYDGOSKA.

Rozwój przemysłu i potrzeba zwiększenia międzynarodowych stosunków, stając się dla narodów bodźcem do zdążania za ogólnym postępem, ożywia w nich działalność, pobudza do naśladownictwa i otwiera nowe źródła bogactw i pomyślności.

Kraj nasz, któremu ani na poczuciu własnego dobra, ani na siłach produkcyjnych nigdy nie zbywało,

najająca żyzne Kujawy i obfite w fabryczne zakłady okolice Gostynina, zwróci bez wątpienia ku sobie utrudnione dziś dowozy do Warszawy lub Wisły i oszczędzi wiele zawodów, na jakie, przy dzisiejszym braku dróg bitych, rolnicy i przemysłowcy nasi często są wystawieni.

Kto tylko podejmował tego rodzaju pracę, kto bliżej poznał trudności z jakimi tu co krok walczyć potrzeba, ten przyzna, że wybudowanie w ciągu sześciu miesięcy i oddanie do użytku 42 wiorst kolei żelaznej, wykończenie dwóch stacji z zabudowaniami do nich przynależnymi i znaczne posunięcie robót na pozostałej większej części drogi, było dziełem znakomującym energiczne działanie przedsiębiorstwa. Ani nieprzyjemne czasowe okoliczności, ani brak rąk do pracy, ani zresztą liczne i nieprzewidziane trudności nie zatamowały postępu robót, które równocześnie od Łowicza do granicy pruskiej na całej linii rozpoczęto. Pięć tysięcy robotników, tak krajowców jako i Szlazaków, zgromadzono na raz, aby całą tę wielką maszynę w bieg wprowadzić.

Wprawdzie kraj, po większej części płaski, znacznych trudności nie przedstawiał; wszelako w kilku miejscach potrzeba było robić nasypy w kotlinach wodnych po 43 stóp głębokich, wznosić groble po 50 stóp wysokie, złożyć przekopy na trzydzieści kilka stóp, nie pomijając innych prac, które w spełnieniu tak wielkiego zadania są nieodzowne.

Z liczby 426 mniejszych i większych mostów, najznaczniejszym jest most na rzece Bzurze pod Łowiczem, którego tu rysunek podajemy. Inne większych rozmiarów są: most na Przysowie, most skośny na Ochni pod Kutnem i sklepiony na Zgłowiączce pod Włocławkiem.

Zbudowanie stacji Pniewo i Kutno z piętnastu murowanymi budynkami, zaopatrzenie ich w studnie, wodociągi, kanały i wszelkie dla publiczności i zarządu potrzebne udogodnienia, stawiają niezbitą dowód siły i pracy, jakich nie szędzono, aby tylko to dzieło przedziej własnością ogółu stać się mogło.

Jak wielkie droga żelazna warszawsko-bydgoska odda usługi krajowi, jak silną dźwignią dla handlu, przemysłu i rolnictwa stać się może, dość powiedzieć, że ona zbliży nas z znakomitymi portami Bałtyku: Gdańskiem, Królewcem i Szczecinem, ułatwi zbożowe transporta chlebobojnych stron Łęczycy, Gostynina i Kujaw, dostarczy węgla kamiennego, licznym tu cukrowniom, zabierając nawzajem ich wyroby, zaopatrzy inne okolice

w wapno, słowem powoła do biegu nowe, nieznane źródła bogactwa narodowego.

Kresząc ten krótki zarys prac około budowy kolei warszawsko-bydgoskiej podjętych lub już dokonanych, nie możemy przemilczeć nazwisk tych osób, które wprowadzeniem jej w czyn niezaprzeczoną położyły zasługę. Prezes towarzystwa dróg żelaznych, radca handlowy Herman Epstein, trafnym nabyciem i spożytkowaniem krajowych i obcych kapitałów dla dobra naszego kraju, pierwszy urzeczywistnił projekt dawniej już pomyślany.

W skutku umowy zawartej z braćmi Riche z Bruskellii, znani poprzednio z robót sumiennie na drodze żelaznej wykonywanych, przedsiębiorcy Henryk Reichmann i Leśniewski podjęli to dzieło, które, o ile do spotęgowania ogólnej pomyślności przyczynia się, o ty-



ŚLEPY LIRNIK UKRAIŃSKI Z POWODYREM. (Rysował z natury Przyszychowski).

nie chcąc pozostać w tyle i opierać się silnemu prądowi postępu, kroczy, lubo zwolna, po téjże drodze i wiąże ogniwa mające nas zespolić z wielkim łańcuchem cywilizacji Zachodu. Dowodem tego są istniejące już lub projektowane drogi żelazne, te główne arterie życia w organizmie każdego kraju.

Pisząc to, mamy na myśli budującą się w tych czasach kolej warszawsko-bydgoską, która, jak to czytelnikom wiadomo, w 1/3 części do użytku powszechnego oddana już została. Pierwotny pomysł téj drogi zawdzięczamy radcy stanu Wysockiemu, inspektorowi dróg żelaznych w królestwie polskim; wprowadzenie go jednak w wykonanie, skutkiem wielu zewnętrznych okoliczności i stagnacji finansowych, nie prędzej jak w zeszłym roku nastąpić mogło. Nowa ta, a tak ważna gałąź komunikacyjna, przerzy-



MOST ŻELAZNY NA BZURZE POD ŁOWICZEM. (Rysował z natury Aleksandrowicz).

le twórcom jego do zasługi prawo nadaje. Za chlubę także poczytać sobie możemy, że pod światłym i na długoletniem doświadczeniu opartym zarządem dyrektora drogi żelaznej p. Rosenbaum, (*) służbę techni-

(*) Artykuł ten napisany był przed samą śmiercią ś. p. Rosenbauma. (Przyp. redak.)

czną przy wykonaniu drogi sami krajowcy składają. Naczelnym inżynier Leonard Aleksandrowicz, umiejętnym i energicznym sterem całego przedsięwzięcia, wraz z dodanymi sobie do pomocy inżynierami: Sokólskim, Helczyńskim i Regulskim, godnie wywiązują się z poruczonego im zadania.

Tak więc pierwszy okres budowy tej drogi prze-

biegł już szczęśliwie i spodziewane korzyści zamieniły się w rzeczywistość. Biorąc miarę z tego co już dokonano, możemy sobie tuszyć, że z końcem roku bieżącego ukończona w całości, kolej warszawsko-bydgoska otworzy krajowi nowe ożywcze źródła moralnego i materialnego dobrobytu.



STACJA DROGI ŻELAZNEJ W KUTNIE. (Rysował z natury Aleksandrowicz).

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z Latyczowa, 5 kwietnia 1862 r.

Dożyliśmy z łaski Boga wielkiej chwili, — chwili, w której ścierają się zasadnicze żywioły społeczeństwa naszego, nim błogi owoc z tego spłynie na cały nasz naród. Bolesnie jednak widzieć, że i dziś jeszcze niektórzy właściciele ziemscy wahają się z podaniem dłoni braciom swym włościanom, pokrywając nieudolnie swe samolubne zamiary zszarzałą obłonką jakichś na przyszłość wielkich celów. I cóż dziwnego, że chłopci stawają przeciw nam z nieufnością i wyrzutem, wypowiadając ból, co dotąd w głębi serc się ukrywał?

Najniesprawiedliwiej piszą i krzyczą na nasz lud, że „z jego prostotą i ciemnotą nie można trafić do końca, że nie chce nam zaufać.“ Pokazuje się że krzykacze nie umieją nawet odróżnić od prostactwa prostoty, którą tak ślicznie odmalował książe poetów:

„O dobre czasy, gdy trwała prostota,
Uprzejmość wszystko kształciła i cnota.“

Co się zaś tyczy ciemnoty ludu, któż temu winien? Dlaczegoż tyle systemacików jasnościowych ciemnoty dotąd nie rozproszyło? Widocznie światelka były mdłe, pożyczane i wiele jeszcze potrzeba nam samym nad sobą pracować, nim zajaśniejemy światłem własnym, samodzielnym, ożywczym dla drugich.

Zobaczmy teraz jak owo prostactwo i ciemnota postawić się pragnie z właścicielami ziemskimi. Domagają się listów nadawczych, poręczających iż będą przypuszczeni conajrychlej do wykupu sadyb i roli, a wówczas przystąpią do tymczasowego oczynszowania. Właściciele niektórzy upierają się przy wieczystym oczynszowaniu. Włościanie, lękając się ciągłego i wielkiego czynszu, bez nadziei kiedykolwiek posiadania własności gruntowej, mówią że panowie dlatego niechęć im sprzedać ziemi, by z czasem znowu powrócili do dawnej pańszczyzny i do dawnego poddaństwa.

Gdy w pewnej okolicy włościanom tłumaczono, „że za ziemię, którą panowie może już od 300 lat posiadają, jako za ich własność, trzeba im zapłacić,“ tak odpowiedzieli: „Ta to prawda, ale kto nam za teju zapłaty, szczo naszy didy i pradidy nad neje od rana do wczora pracowały od 300 lit, a może i bilsze?“

Dla tych to powodów kwestya włościańska w naszych stronach po większej części dotąd jest w zawieszeniu. Jednakże właściciele z sercem i głową, szczerze pragnący szczęścia swego kraju, sami bez żadnego pośrednictwa kończą w domu z chłopami. Do takich feniksów należą między innymi obywatele powiatu bractawskiego, nadto hr. Alfred Potocki z Uładówki, Komar z Karcic i właściciel Berezówki, znany poeta Leonard Sowiński. Ci to prawi obywatele, jak i niektórzy z innych okolic, podążają naprzód łącznie z swą młodszą bracią, w imię Boga, oświaty i miłości kraju. O jakżeby dziś życzyć należało, aby komitety honorowe prywatne, czuwające u nas sumiennie nad życiem powiatowem i wszelkie spory bez niepotrzebnych wydatków i afiszowań się po sądach rozstrzygające po bratersku—aby te mówię komitety zajęły się conajspieszniej załatwieniem kwestyi włościańskiej, jednocząc takich obywateli i włościan, co sami z sobą pogodzić się nie mogą, lecz na zasadzie najtrwalszej, bo na zasadzie własności gruntowej, oświaty i miłości braterskiej!

Na Wołyniu i Ukrainie krzątają się także około sprawy domowej. Wiele dobrego głoszą o powiatach: humańskim, lipowieckim i berdyczowskim. Sędziowie pokoju ukraińscy z radością przyjęli na pisarzy włościańskich studentów uniwersytetu kijowskiego, którzy z zapalem rzucili się do rozlewania światła wśród braci młodszych. Należy tu nadmienić, że po trosze nasi zanci proboszczowie otwierają i szkoły parafialne, chociaż im wiele jeszcze brakuje do odpowiedzenia swemu celowi. Są zawady, lecz trzeba je zwalczyć, bo bez trudu nikt nieba nie osiągnie. Upragnionem byłoby gdyby niezwłocznie po miasteczkach powiatowych i prywatnych marszałkowie, łącznie ze współobywatelami i proboszczami, takie szkoły pozakładali, w którychby najbiedniejsi różnych stanów i wyznań uczyć się mogli czytania, pisanie i rachunków, a wkrótce grammatyki i dziejów; religia należałaby do proboszczów i wikarych. Letnią porą, dla wzmocnienia sił fizycznych, możnaby także w wyznaczonych godzinach zatrudniać dzieci kopaniem, sadzeniem drzew owocowych i leśnych, poznawaniem własności różnych ziół, kwiatów i t. d.

Dla dopięcia podobnego celu i innych równie ważnych, niedosć po domach siedzieć i pieniędzmi wory nabijać, lub na zbytki trwonić, lecz powinniśmy sobie wziąć za świętą powinność, by chociaż raz

w pół roku zjechać się do powiatowego miasta, do majątności marszałka, albo poważniejszego współobywatela, ale nie na to, by po dystygowanym obiadku wrócić do domu, o wszystkim radząc, a nie nie uradziwszy, na wzór dawnych sejmów ciągle zrywanych. Niech każdy zjazd uwieńczony będzie jakim czynem dokonany, mającym na celu dobro ogólne. Jeśli komu, to marszałkom zamożnym należałoby zostawić chlubny ślad swego urzędowania na ziemi rodzinnej.

Zaradzając brakowi proponowanych przezemnie szkółek, uczniowie gimnazjum niemirowskiego w niedzielę i święta zbierają chłopczyków różnych stanów z miasta i ucza ich czytać i pisać. Daj Boże, by tę postępową młodzież uczniowie i innych szkół nasładowali.

Serce się raduje słysząc i patrząc, jak młodzież naszych stron podąża wytrwale do celów podniosłych i chlubnych. Młodzi zacna plci obojg i wy starsi wiekiem postępowi obywatele! widać ze wszystkiego, że sama Opatrzność was powołuje do wydobywania rodzinnego kraju z zepsucia, próżniactwa i ślepoty, a wprowadzenia go na drogę cnoty, moralności, nieobłudnej pobożności i światła. Stańcie się odtąd wzorem dla drugich, doskonałą się wspólnie z najbiedniejszą bracią, a Bóg was umiłuje.

Po wsiach także należałoby jaknajprędzej zakładać szkoły, pod opieką właścicieli i sędziów pokoju. Rzecz można, że postęp w nich byłby szybki, gdyż chłopczyki i dziewczynki wiejskie wiele mają zdolności i z łatwością wycuczają się mówić, czytać i pisać po polsku; wiem to z doświadczenia. I cóż w tym zresztą dziwnego? Oni są braćmi naszymi ze krwi, serca i ducha, nawet wyrazista ich fizyognomia zupełnie jest naszą. Dzieteczki i sędziwi staruszkowie coś mają pociągającego ku sobie. Co za sąd zdrowy o rzeczach! a charakter jaki łagodny, oburzający się tylko na niesprawiliwość! Obyczaje wprawdzie skrzywione niewolniczym poddaństwem i brakiem oświaty, lecz niezepsute, a złąd łatwe do sprostowania.

Dziś rzeczywiście na lud nasz, jakby z wyższego natchnienia, chęć do oświaty wionęła, bo tam gdzie niema szkółek, sami włościanie wyszukują we wsi umiających czytać i oddają im swe dzieci, by się wycuczyły: „ciłoho czystowia.“

Do tych pocieszających faktów należy zaliczyć i to, że pewne zasady prawdziwie chrześcijańskie zaczynają zniknąć, po części może i z musu, na przykład: że chłop bez batoga i pańszczyzny nic nie wart; że choć go miodem posmaruj, to chłop zawsze chłopem,“ i t. p.

Jednakże wegetuje jeszcze u nas dosyć obywateli z ideami przedpotopowymi, a co większa, szczytających się i majątkiem pięknym i wysokim rodem. Na dowód tego przytaczam tu słowa wyjęte z listu jednego z podobnych geniuszów. „Racz w. pan przedstawić j. w. sędziemu pokoju, by zmusił mych chłopów, którzy mi zawiedli 400 dni pańszczyzny (ma się rozumieć z dniami świętecznymi), bo ja tego tym lotrom nie daruję, i gdy ich do tego nie zmusicie, udam się do komitetu, by tych przyszłych waszych obywateli porządnie oćwiczyć różgami.“

Są to ofiary naszego błędnego domowego wychowania. Panicz, upojony z dzieciństwa dumą, próżniactwem, zbytkami, pomyślnymi trzema bóstwami nasyca się, aż pęknie zdrowie, rozum i majątek. I dziś niejeden z tych półmędrków-dandysów, co pół życia zmarnował na uciechach odurzających, co nic więcej nie czytywał jak: „Le journal pour rire,“ niema już za co prenumerować: „Le journal pour deplorer sa bêtise.“

O tym to wychowaniu domowem, jakie się dotąd u nas może i po większej części odbywa, w następnej korespondencji zamierzam rozpisać się, a wskazawszy jaki mu odtąd należy nadać kierunek, rzucę myśl, może i nową, która nie ręczę, czy niektórych mam i pap nie nabawi katalepsyi chwilowej, ale za to spodziewam się że większa część zacnych rodaczek i rodaków przyjmie ją z serdecznością.

Bolesław z Ukrainy.

ŚPIĄCA.

Śpi dziewczę w trumience,
W bieluchnej sukience,
Oh, o czym tak śni?
A dzwonią i grają,
I księża śpiją,
A ona wciąż śpi.

Zawodzą rodzice,
Drużki, rówieśnice,

Wszędzie żal i lzy;
A ona jak głucha,
Nie czuje, nie słucha,
Tak twarde jej sny.

Oj, twardoż zasnęła!
Czy ziela—sen wzięła,
By przespać sto lat,
I ziemskie niedole,
I ciernie i bóle, —
Przejść we śnie ten świat?

I zda się przed chwilką
Zasnęła co tylko,
Nadobnie tak śpił
Zmrużone oczęta,
Złożone ręczęta
I krzyżyk w nich tkwi.

Nie budźcie! śpi, marzy!
Na ustach, na twarzy
Gra uśmiech przez sen....
Nie bólu, żalosci,
Ni ziemskich radości...
O dziwny śmiech ten!

Uśmiechy takiemi
Nikt z ludzi na ziemi
Nie śmieje się, nie!
Chyba w zachwyceniu
Święci, gdy w widzeniu
Duch w niebo się rwie.

To może wzrok ludzi?
Ej, dziewczę się zbudzi,
Przerwie twardey wczas;
Ej, dziewczę się zbudzi,
Zatęskni do ludzi,
Zawita śród nas.

Ej, dziewczę, na Bogal
Twa macierz nieboga,
I rodzic i twój,
My wszyscy po tobie
W smutku i żalobie,
Lecz lejemy zdroj!

Uzał się nad niemi,
Nad nami biędnemi
I wróc się nam, wróc!
Nam w sercach po tobie
Ponuro jak w grobie,
O zbudź się nam, zbudź!

O, darmo wołanie,
O, próżno czekanie,
Już nie zbudzi się!
Nie dla niej godowy
Wianeczek mirtowy,
Już nie dla niej, nie!

Nie dla niej uciechy,
Ni ziemskie uśmiechy,
Ni radości zdroj;
Nie dla niej taneczki,
Kochanie, piosneczki,
Młodych marzeń roj.

Śmierć ustka wysłała,
Z lica zcałowała
Krasny życia róż;
A kogo uściśnie,
Na ustach zawiśnie,
Nie zbudzi się już.

Nie przyszło biędnemu,
Nie przyszło lubemu
Z ust jęj roskosz ssać;
Nie przyszło dziewczęciu,
W miłosnym objęciu,
Z dłonią serce dać.

I wdzięków ostatki,
Uwiedle w pół kwiatki,
Dawnej krasny ślad,
Lśni jeszcze, lśni chwilę,
Nim w chłodnej mogile
Roztoczy je gad.

Tadeusz K.

ŻEGIESTÓW,

Z pomiędzy mnóstwa środków lekarskich, do których potężny duchem, a nędzny ciałem ród ludzki ucieka się w cierpieniach, wody lecznicze przeważnie zajmują miejsce. W ostatnich czasach nawet coraz więcej zwracają uwagi, nie tylko biegłych lekarzy, ale i publiczności. Nic w tym dziwnego: lek sporządzony wszechmocną ręką Opatrzności, lepiej działać powinien i działa niezawodnie, aniżeli kombinacje ludzkiej nauki, choćby wysoko posuniętej, zawsze przecież niedoleżnej, jak wszystkie sprawy ludzkie.

Wędrowni letnie do źródeł lekarskich mnożą się z każdym rokiem, i jeśli je tylko biegły wskazał lekarz, chorzy przywożą z powrotem na rumianych policzkach świadectwo skuteczności wód, a nawet nieuleczone cierpienia jakowejś ulgi doznają. Ludność zwłaszcza miejska, zamknięta w ciasnych murach przez rok cały, jeżeli wydotanie się z swego więzienia, podwójnego używa leczenia, — skutku wód i niemniej dzielnego skutku świeżego powietrza.

Ziemia nasza rodzinna obfituje w te skarby przyrody; osobliwie też z podnóża Tatrów i Bieszczad setkami wytryskują zbawcze wody; a jednak lepiej, stokroć lepiej znany zdroje zagraniczne, aniżeli ojczyste. Powiedźcie mi, czytelnicy, czy słyszeliście o *Maryenbadzie, Ems, Karlsbadzie, Kissingen* i stu innych? O z pewnością nie znajdzie się nikt, coby o ich istnieniu nie wiedział, wielu zaś znają okolice gdzie biją te źródła, tak dobrze jak własne miasto lub wioskę. Powiedźcie mi, czy słyszeliście kiedy o *Żegiestowie*? — Nie, z pewnością nie! A przecież te wyborne źródła wytryskują z łona naszej matki. Kilka lat temu w tył, kłóż słyszał o *Krynicy*? Przed kilkunastu laty czyż była *Szczawnica* znana?

Od lat kilku staraniem lekarzy krakowskich zwrócono u nas większą uwagę na źródła oczyste, skutkiem czego *Szczawnica* i *Krynica* weszły między lekarzami w użycie, a między publicznością w modę; daj Boże tylko aby ta moda nie była przemijającą, a z wód zagranicznych te tylko były używane, jakich u nas niema lub dotąd nie odkryto.

Że nie odkryto wielu jeszcze źródeł lekarskich, dowodem może być samo wynalezienie wód żegiestowskich. P. Ignacy Medwecki, obywatel miasta Muszyny, szukając w r. 1848 rudy żelaznej dla hut w Żulinie, ujrzał w jednym z licznych wąwozów gór galicyjskich ku Popradowi schodzących, na dnie potoku, źródło belkoczące, a dokoła niego osad rdzawy, z czego wniósł że tu mineralny zdroj wytryska. Zakupił więc od włościanina kawał ziemi strumieniem tym przetrzyniętą i odwróciwszy bieg jego, odkrył zdroj dziś zwany zdrojem *Anny*. O trzy sążnie ztamtąd znajdowało się w kierunku południowo-zachodnim drugie źródło *Maryi*, o którym głuche wieści chożyły, że lud w dawniejszych czasach używał wód jego kwaśnych w rozmaitych cierpieniach z pomyslnym skutkiem.

Obydwa źródła oczyszczono i ujęto w cembrzynę drewnianą. Właściciel wezwał K. F. Ks. Mohra, profesora chemii szkoły technicznej w Krakowie, który części składowe zdroju *Anny* oznaczył.*

Od roku 1848 najprzód rodzina właściciela, później przyjaciele i bliźcy sąsiedzi, zaczęli nawidzać Żegiestów; mieszczono się w jednym domku, a wodę grzano na kąpiele pod gołym niebem w kotłach. Od tego czasu pomnażała się liczba budynków, a w r. 1860 już 429 osób bawiło w lecie w Żegiestowie, między którymi leczących się było 443.

W roku zeszłym zwidziałimy Żegiestów, a kilkodniowy pobyt w nim pozostawił w duszy naszej niezatarte wrażenie. Trudno sobie wystawić coś bardziej uroczego i ponętnego nad tę cudną dolinę. Wspaniałe widoki Tatrów, przesliczne okolice *Szczawnicy*, *Pionin*, *Czorszyna*, czarują wędrowca, ale Żegiestów prawie im nie ustępuje. Cóż to za różnica od *Krynicy*, która się jednak wszystkim podoba. Dziwna rzecz że tyłu z nas zna *Szwajcaryę*, brzegi *Renu* i *Elby*, a rzadko kto zapuszcza się w nieporównane podnó-

(* Skład ten jest następujący. W funcie aptecznym wody (12 uncyj):

węglań sody	6,043
— wapna	4,391
— magnezy	1,209
— niedokwasu żelaza	0,183
chlorku sody	5,931
— potaszu	0,121
siarkanu sody	0,120
— magnezy	0,073
kwasu krzemowego	0,117
niedokwasu manganu	śląd

Razem części stałych: 18,188 gran.
kwasu węglowego wolnego przy +7° 1 R. barom. 26"1"2"
cali sześciennych 39,60.

za Tatrów, mało kto zna te nasze rodzinne skarby — grzech nie do darowania!

Do Żegiestowa jedzie się z królestwa polskiego na Kraków i Bochnię koleją żelazną, ztąd pocztą lub furmanem do Nowego Sącza. Z tego ostatniego miasta dwie drogi wiodą: jedna przez Sącz Stary, Piwniczną, Mniszek; druga przez Nawojowę, Słotwiny, Krynice, Muszynę do Żegiestowa. Ostatnia jest dogodniejszą, do samej bowiem Muszyny od Sącza (6 mil) jest gościniec bity, z Muszyny zaś (1½ mili) droga prywatna, ale dość dobrze utrzymywana. Droga na Piwniczną i Mniszek jest o półtrzeciej mili krótszą i do samego Mniszka prowadzi gościniec, lecz z Mniszka do Żegiestowa (1½ mili) droga jest wązka, czeplająca się po urwisku góry i mniej dogodna. Pomimo to jednak tak dla krótkości, jakoteż dla wdzięku widoków przekładamy drogę na Stary Sącz i Piwniczną. Za tym ostatniemi miasteczkiem wjeżdża się na ziemię węgierską, przez którą blisko trzy ćwierci mili jechać potrzeba, zanim przebrodziwszy Poprad, wraca się znów na ziemię polską, do Żegiestowa.

Żegiestów leży tuż na granicy węgierskiej, którą tutaj stanowi rzeka Poprad. Pasma gór otaczające zakład należy już do Bieszczad, lubo zdaje się że to jeszcze Tatry, które ze szczytu *Kiczory* bardzo dobrze ztąd widzieć można. Wedle ostatnich pomiarów, dokonanych przez inżyniera wojskową austriacką, zwierciadło wód Popradu leży nad powierzchnią morza bałtyckiego 1340 stóp wiedeńskich (1462 polskich); altana spacerowa 1393' w. (1519' p.); zdroje 1450' w. (1519' p.); szczyt góry *Kiczora* ponad zakładem 2438' w. (2654' p.). Ciepłota wyższa jak w *Krynicy*, z powodu otwarcia doliny tylko od południa, a zamknięcia od trzech stron; klimat bardzo łagodny i przyjemny, czego dowodzi bogactwo i bujność tutejszej flory.

Droga bieży brzegiem Popradu, którego wartkie i czyste jak kryształ wody pienia się, walcząc z dnem kamienistym. Po obydwu stronach czarujące wzgórza, świeża zielenia lasów pokryte.

Jedzie się i jedzie, a Żegiestowa jak niewiadać, tak niewiadać. Po za Popradem stoją jakieś budowle okazale. — To pewnie Żegiestów? pytasz woźnicy. — Nie paneczku, to Żulin (Sulin) na węgierskiej stronie.

— Gdzież Żegiestów? — Dalej. — Czy za zakrętem Popradu? — Nie, bliżej. Tam gdzie ta altana na wzgórzu. — Ależ tam żadnych zabudowań nie widać. — Już je paniczek ujrzał. — I nagle po lewej stronie drogi rozdziela się wysoka góra, a w szerokim wąwozie pokazuje się zabudowania kąpielne. Dolina ta, od wschodu, zachodu i północy osłonięta wysokimi górami, ku południowi tylko szeroko się otwiera; więc do jej wnętrza nie zajrzy zimny wichur północny, ani gwałtowny powiew z zachodu, a miły i chłodny zefir, wiejąc od Popradu zamykającego wniście do doliny, odświeża lekkim powiewem powietrze.

Czytelnicy, rzucicie okiem na drzeworyt. Po lewej stronie leżą zabudowania mieszkalne i łaźienki. Po prawej parę domków mieszkalnych. W głębi pod drewnianą altanką, niemającą pretensji do kolumn, kapteli, karyatyd, biją dwa źródła żywej wody; wciąż się w nich przewraca i bulkocze, szumi i pryska, a po za niemi zamknięty drzwiami szerokiemi, ołtarz skromny, opieka Boża, czuwa nad zdrojami. Obok zdrojów na wzgórkach dom obejmujący kuchnię i jadalnię; dalej dziki wąwóz ciągnie się ku północy, coraz wyższy i wyższy; bokiem jego pędzi potoczek górski po kamieniach, a dokoła lasy, ale jakież lasy! cudne, majowej zieloności, zupełnie różne od tych, które w równinach rosną. Ziemia pokryta kobiercem szmaragdowym aksaminnej trawy, a na nim rzucik kwiatów, ale jak pięknych! nie oleandry, gloksynie, azalee, rododendrony, ale kępiaste, bujne macierzanki, modrookie niezapominajki, bieluchne wietrznice, wdzięczne leśne dzwonki. Ba, kłóżby je zliczył!

Kręte chodniki czeplają się bioder góry, tarasem jeden nad drugim, a oba zbiegają się u krańca, na którym lekka stoi altanka. Cóż za przesliczny ztąd widok na półwysp węgierski, w środku którego zasiadła wspaniała góra, zielonym w różne cienie lasem pokryta, a piękna i foremna, jakby ją ludzka usypała ręka! A dalej góry i góry i góry, a jedna piękniejsza od drugiej, a jedna piętrzy się nad drugą. U spodu igrza z madziarską weselością Poprad z głębi Węgier płynący. Powietrze tak świeże, tak balsamiczne, że trzeba być szaleńcem albo brukowcem wielkiego miasta, żeby się tu choć chwilę nudzić. Naprzeciw altany o kilkadziesiąt stóp niżej stoi krzyż biały, strzegący wniście do doliny. Wystawił go uleczony, w zachwycie wdzięczności dla nieba za powrócone zdrowie.

Ponad samą doliną panują góry: Skalny, Żdżar,

Czerszla i Kiczera; na falach Popradu kołyszą się trawy i łodzie, zapraszając do wodnej przejażdżki, a gdy nad doliną zajaśnieje księżyc w pełni i igra w nurtach rzeki, gdy po niej płyniesz lipcowym wieczorem, to już trudno sobie coś piękniejszego wyobrazić, a to wszystko nasze — nasze rodzinne!...

O ćwierć mili ztąd leży wieś Żegiestów, w innej, szerszej dolinie rozłożona, z kościołem greko-unickim. Włościanie okoliczni są Rusini, lecz mowa ich tak spolszczona, że nadzwyczaj odskakuje od narzecza ruskiego wschodniej Galicyi.

Najbliższem Żegiestowa miasteczkiem jest Muszyna, schludnie i czysto zabudowana, z kościołem pięknym i ruinami zamku *Palocha*, który, wedle podania, umierając zapisał dobra te jednemu z klasztorów krakowskich, a jakiś biskup krakowski, upodobawszy sobie to czarowne miejsce, pomieniał się z klasztorom na inne dobra. Archiwa miasteczka Muszyny zaprzeczają temu podaniu, gdyż wedle kopii przywilejów w Muszynie przechowywanych, *Władysław Jagiełło* wraz z żoną swoją *Jadwigą* w r. 1394 darowali listem własnoręcznym Muszynę z przyległościami (więc i Żegiestowem) *Janowi* biskupowi krakowskiemu. Odtąd te wszystkie włości należały do biskupstwa krakowskiego, aż do roku 1772, w którym rząd austriacki, objąwszy Galicyę, dobra te biskupstwu krakowskiemu odjął i wcielił je do dóbr rządowych, czyli kameralnych.

Muszynę często odwiedzają goście bawiący w Żegiestowie, i z tamąd też dochodzą wszystkie artykuły żywności.

Niemniej przyjemną jest wycieczka do *Lubowni*, miasteczka węgierskiego z mieszkalnym zamkiem, odległego o milę, którego właściciel gościnnie przyjmuje wędrowców.

Po uniesieniu jakie pióro przepelnia na wspomnienie tego uroczego ustronia, trudno z stetoskopem w rękę zapuszczać się w badania chorych tu ulgi szukających i opisywać czytelnikom skutki lekarskie tych wód zbawienych. Dla zwykłych czytelników byłoby to za nudne, dla lekarzy niedostateczne i nieumiejętne; zresztą ciekawych odsyłamy do szczegółowej a pięknie skreślonej pracy dra *F. Z. Gogojewicza*, lekarza zakładu, którą wręczyliśmy szanownej redakcyi *Pamiętnika lekarskiego* w Warszawie, dla postąpienia z nią wedle uznania.

Pokrótko tylko napomkniemy, że wedle zdania biegłych lekarzy, woda ta trzyma środek pomiędzy wodą *krynicką* a *szczawnicką*. Ci dla których pierwsza za mocna, a druga za słaba, niechaj szukają ulgi w Żegiestowie. Stwórca w mądrości swej ustąpił środki lekarskie, ręką swą przygotowane dla ludzi; każde z wód inaczej skutkuje, a dla każdego odpowiedni chorzy się znajdują.

W ogóle niewiasty cierpiące na bładaczkę i inne przypadłości im właściwe, mężczyźni chorzy na katar żołądka i inne cierpienia trzew, leczą się tu z zadziwiającym skutkiem.

Co jeszcze ma wdzięcznego Żegiestów, to to, że dzięki bawiącym w nim publiczności, nie dostały się tu jeszcze przesady, przepychy i nudy innych kąpiel liczniej odwiedzanych. Jestto grzech nie do darowania, że panie przybywające z miast większych, mianowicie z Warszawy, usiłują kąpiele przemienić w salon. Każda wysnurowana i ustrojona, przechadza się poważnym krokiem, wypędzając z tych miejsc uroczych miłą swobodę i zmuszając wszystkich do naśladowania tego chorobliwego i spaczzonego stanu, który bynajmniej nie przyczynia się do polepszenia zdrowia. Również, nienawykłe do obejścia się z ludem większym przynoszącym żywność na targi, psują go, dziwując się w przytomności sprzedających niezwykłej taniości i sprawiają to, że wszystko dochodzi do cen bajecznych. Tak w *Krynicy*, jak w *Szczawnicy* górale nauczyli się obdzierać gości, i dziś dla mniej za możnego leczenia się u tych wód stało się bardzo trudnem. Za pokoik przed kilku jeszcze laty w *Szczawnicy* u górala płaciło się z usługą złp. 4 gr. 10 najwyżej; dziś niżej 4 złotych najlichszego pomieszkania dostać niepodobna. Toż samo dzieje się z żywnością. Na to warto zwrócić uwagę, bo własnej nieogledności winni będziemy, że kąpiele nasze zaliczone zostaną do najdroższych w Europie.

W Żegiestowie, dzięki jego nielicznym, a zwłaszcza niezbytowym gościom, tego nie znają, a panie bawące nie puszą się codziennie w jedwabnych materjach, ale skromną sukienką wełnianą lub perkalikową okryte, przebiegają uroczę ścieżki. Goście przybyli żyją jak jedna rodzina, bez wzajemnych wyróżnień i szkodliwie na zdrowie wpływających szykan.

Obydwa źródła wydają wodę przezroczystą, podobnie jak woda sodowa przepelnioną pęcherzykami

gazu; smak jej kwaskowato-szczypiący, orzeźwiający i miły, lubo woda zdroju Anny smak ma więcej ściągający, żelazisty, przecież wcale nie wstrętny. Ciepłota stała obu zdrojów + 7,3 R. Oba wydają w jednej dobie 10,800 garncy, a lubo to już znaczna obfitość, przecież wcale nie wstrętny. Ciepłota stała obu zdrojów + 7,3 R. Oba wydają w jednej dobie 10,800 garncy, a lubo to już znaczna obfitość, przecież wcale nie wstrętny.

Wody tutejsze rozsyłane bywają, podobnie jak krynicka i szczawnicka. W r. 1860 rozesłano 13,060 flaszek, w roku zeszłym miano rozesłać jeszcze więcej i zdaje się że z czasem wysyłka ta znakomicie się pomnoży, jeżeli zważymy że o 1000 kroków odległy Żulin rozsyła rocznie do 600,000 flaszek.

Odkrycie kapieli tych jest dziełem jednego człowieka. P. Ignacy Medwecki włożył tu prawie cały



ZAKŁAD KĄPIELOWY W ŻEGIESTOWIE. (Rysował z natury L. Lepkowski).

w Żegiestowie, gdyż nie piszemy traktatu lekarskiego o tym zdrojowisku, ale pragniemy tylko zwrócić na uwagę ziomków, przede wszystkim zaś świątłych lekarzy, przy nadchodzącej porze kąpielnej. Niechaj ciekawi badacze zasięgną bliższej wiadomości w szanownej redakcyi Pamiętnika lekarskiego, która ich ze stanowiska nauki objaśni; my tylko staramy się rozbudzić współczucie dla tych wód zbawienych, roznieść o nich wieść po naszej ziemi i zachęcić do liczniejszego ich zwidzania, na co swoją skutecznością i przedudnem położeniem, którego słabo nakreśliliśmy piękność, najnie za wodniej zasługują; głównie zaś chcieliśmy przypomnieć tym

z ziomków naszych, co wynoszą pod niebiosą kąpiele zagraniczne, że z łona ziemi naszej wytryskują zdroje żywej wody, którą oni przez uprzedzenie lub niewiadomość zaniedbują. Wł. L. Anczyc.

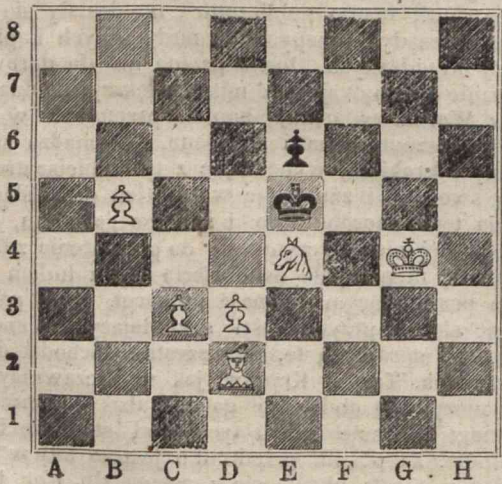
SZACHY.

ZADANIE CV.

(Dr. F. Mansch we Lwowie).

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 104.

- | | | |
|---------|-----------------------------|-------------------|
| | Białe. | Czarne. |
| Nr. 1. | 1) F2 — F4+ | 1) G5 — H4. |
| | 2) H7 — H5 biorą+ | 2) G6 — H5 biorą. |
| | 3) G7 — F5+ i mat. | |
| Nr. 2. | 1) F2 — F4+ | 1) E5 — F4 biorą. |
| | 2) B4 — B5+ | 2) G5 — H4. |
| | 3) A5 — E1+ i mat. | |
| Nr. 2. | | 2) F6 — E5. |
| Odmiana | 3) A5 — D8+ i mat. | 2) G6 — F5. |
| | 3) H7 — H5 biorą+ i mat. | |
| Nr. 3. | 1) F2 — F4+ | 1) E4 — F3 biorą |
| | 2) H3 — H4+ i mat. | [go w przejściu. |

majątek i wybił swym kosztem drogę do Mniszka i do Krynicy, bo przed trzynastu laty zaledwie przez manowce przedrzeć się było można w te strony. Dolinę rozkopał, wznosił łazienki i domy mieszkalne, odwrócił łożo strumienia, jednym słowem pracując sam ciężko przez lat kilka, dokonał bardzo wiele. Gdyby spółka zdrojowisk krajowych, zostająca pod prezydencją uczonego Dra Dietl, odkupiła Żegiestów, lub porozumiała się z właścicielem, kraj zyskałby wiele, bo na dzisiejszego właściciela już to za ciężko. I tak poświęcił cały majątek i kilkanaście lat życia, a dotąd ani części kapitału nie odzyskał.

A niedostaje tu jeszcze wiele: należałoby koniecznie więcej dokupić ziemi, dla zyskania obszaru, lecz ziemia przyległa należy do dóbr rządowych (niegdyś do biskupstwa krakowskiego); trzeba by pomnożyć liczbę mieszkań i łazienek, gdyż lubo właściciel na ten rok ma wystawić nowy budynek, wszelako cała ilość pokoi wynosi tylko 34, łazienek zaś tylko 12; należałoby utrzymać lekarza stałego kąpielowego, przy dzisiejszym bowiem nielicznym nawiedzaniu zdrojowiska, właściciel zapewnić mu stałej pensji nie może.

Przez parę lat bawił tu lekarz uniwersytetu jagiellońskiego, pan F. M. Gogojewicz, który troskliwie zajmował się przybyłymi; wszelako więcej poświęcenie, aniżeli jakiegobądź widoki, skłaniały go do pobytu w Żegiestowie, i nie wiemy czy na rok przyszły zechce przyjechać, czy też go który z kolegów wyręczy.

W niedalekiej przyszłości Żegiestów będzie o wiele zbliżony do nas. Już wytknięto drogę żelazną z Wojnicza na Sącz, Żulin do Koszyc, która połączy Węgry z Galicyą. Kolej ta pobiegnie brzegiem Dunajca aż do jego ujścia do Popradu; odąd pójdzie krętą doliną Popradu, a najbliższa stacya Żegiestowa będzie w Żulinie, zaledwie 1000 kroków odległym. Droga ta ze wszystkich kolei żelaznych w Galicyi najpiękniejsza przecina miejsca, biegnąc wśród gór najeżonych lasami, wciąż zmieniającą się panoramą Popradu. Z tego powodu Żegiestów znakomita czeka przyszłość, gdyż nie ustępując innym zdrojowiskom, zetknie się prawie z koleją żelazną i oszczędzi trudów jazdy na wózkach, niezbyt przyjaznej dla jadących do kąpeli. Nie chcemy wyliczać innych ulepszeń, koniecznych

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 133.

Szuler często chowa pieniądze, a za to grającym pokazuje łamane sztuki.